Świat powieściowy.

Pismo tygodniowe belletrystyczne.

Wychodzi we Lwowie w każdą niedzielę.
Administracja: ulica Grodzickich l. 4. w drukarni narodowej W. Manieckiego.

Nr. 11.
dnia 13. Lutego 1881.

Prenumerata wynosi wraz z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . 2 zł.
półrocznie . . . 4 zł.
rocznie . . . . 8 zł.

ZDRAJCA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA W DWÓCH TOMACH

przez Autora „*Marzycieli*“

TOM I.

Errare humanum est.

(Ciąg dalszy).

Stern wypatrzył się na garbusa, który stał spokojny i słowo po słowie cedził powoli a dobitnie. Uwagi jego uznał za trafne i nader praktyczne. W tejże chwili przyszedł mu na myśl szwagier i rady zbawienne, jakie mu dawał tenże za ostatniej swojej bytności w jego domu. Nienawiść w obec możnych — mówił między innemi — ukryj na dnie twego serca i dopiero wtedy z nią wystąp, gdy zwycięztwa będziesz pewny... A jakież by to było zwycięztwo, jeźliby mszcząc się na staroście, sobie tem zaszkodził? Powinien był zatem czekać, gdyż, jak rabin trafnie nadmienił, największa sztuka umieć przeczekać.

— No, może pan ma i rację — po dłuższym namyśle znowu przemówił — że nie warto skarżyć starosty... ja przecie sąsiadom nie chciałbym robić przykrości... Lecz z tem wszystkiem sam pan przyznasz, że chcąc nie chcąc muszę coś przedsięwziąć, bo przecie on mnie obraził w przytomności tylu panów...

— Prawda, że to rzecz niemiła, wszakże zdaje mi się, że na to znajdzie się rada.

— No, jaka? Niech pan mówi.

— Trzeba starostę wyzwać.

— Co pan gada?

— Że starostę należy wyzwać na pojedynek. O ile go znam, przyjmie, zwłaszcza jeźli między szlachtą znajdziesz pan sekundantów.

Podczas gdy garbus to mówił, Stern cofał się w głąb pokoju. Twarz jego była teraz może nie tyle zaniepokojona, co zdziwiona.

— Co pan gada? Przecie pojedynek to gwałt, to rozbój! Ja dam zaraz znać prokuratorowi!

Po niekształtnych ustach garbusa przemknął uśmiech drwiący; oczy błysły mu pogardą.

— Do prokuratora nie potrzebuje się wielmożny pan spieszyć, wszak nikt pana nie wyzywa... Starosta nie jest obrażonym, więc i zadośćuczynienia żądać nie potrzebuje.

To rzekłszy wyszedł. Stern chciał go nawrócić, aby go jeszcze o coś spytać, lecz gdy pomyślał, że ten najlepiej wychodzi, kto czekać umie, został na środku pokoju i zapadł w głęboką zadumę. Dopiero po kwadransie poszedł do salonu, a zastawszy tam Rózię, poprosił ją, żeby mu zagrała walce Straussa *An der schönen blauen Donau*.

Podczas gdy Sterna martwi epidemja i sprawa ze starostą, Ryszard biega od chaty do chaty i nieszczęśliwym ratunek niesie. Nie czeka na lekarza, który rzadko do Starejwsi zagląda i wszystko sam załatwia. Gdzie największe niebezpieczeństwo, tam najłatwiej go znaleźć. Co dzień rano wyjeżdża od niego konny posłaniec do miasteczka, i za kilka godzin wraca z pełnym koszem lekarstw. A pieniędzy na leki nie daje ani starostwo ani Rada powiatowa; Ryszard kupuje za swoje pieniądze.

Jeźli kiedy, to teraz najgoręcej błogosławił panu Lachockiemu, że zajął się gospodarstwem w Starejwsi. Gdyby nie on, musiałby ojcu pomagać, a wtedy nie mógłby po całych dniach szukać cho-

rych i długie godziny przy nich wysiadywać. Co do pana Gozdawy, ten nie tylko synowi nie brał za złe, że ludzi we wsi ratował, owszem sam go do tego zachęcał i gdy Ryszard znużony wieczorem do domu wracał, brał jego głowę w swoje dłonie, całował go w czoło i mówił:

— Tylko zawsze tak rób sercuńciu, a Bóg ci będzie błogosławił. Powiadają mosterdzieju, że jak młody człowiek na kilka lat za granicę wyjedzie, wraca zawsze bezwyznaniowcem, heretykiem, Bóg tam wie czem jeszcze! Otóż widzę sercuńciu, że to nie prawda. Mój Ryś jakim był, takim został... bogobojny, miłosierny, uczuciowy, zupełnie jak ja mosterdzieju! Tylko dalej tak postępuj mój synu, a doczekam się z ciebie pociechy.

Widok syna sprawiał mu zatem przyjemność; wszakże nie powiemy, by tak samo był mu miłym w Starejwsi widok pana Lachockiego. Ale nad tem trudno się rozwodzić, zwłaszcza że on sam jeszcze milczy... Jak dotąd pan Gozdawa tylko chodzi, mruczy, coś na wąs sobie mota, lecz głośno przed nikim uczuć swoich nie zdradza. Czekajmy zatem póki on pierwszy nie przemówi...

Ryszarda tylko jedno niepokoiło. Oto stosownie do przyrzeczenia, danego przyjaciołom w Paryżu, jak tylko się dowiedział, że do Galicji wszyscy mogą przyjechać, niezwłocznie do nich napisał, że ich oczekuje i teraz spodziewał się ich lada dzień. Na początek, zanimby każdemu znalazł miejsce stosowne, postanowił ich trzymać u siebie na wsi, ale czy zajmowanie się kilkunastu osobami, niektórzy bowiem mieli żony i dzieci, nie będzie go nadto odrywało od obowiązków, jakie już miał dla chorych? A prócz tego jak wielką brał na siebie odpowiedzialność, sprowadzając w miejsce epidemją dotknięte ludzi z dziećmi drobnemi? Ryszard bardzo tem się niepokoił, to też w duchu gorąco prosił Boga, żeby paryscy jego przyjaciele nie spieszyli się do Galicji.

Pewnego dnia rano, właśnie gdy wziąwszy kapelusz i laskę do wsi się wybierał, wbiegła na werandę jakaś kobieta podeszła z waszecia ubrana, i za nogi go obejmując, poczęła błagać by szedł za nią.

— Dobrze już, dobrze moja kobieto... Powtarzam wam, że chętnie pójdę, tylko radbym wiedzieć gdzie mam iść.

— Na Ekonomówkę proszę pana konsyljarza, do chorego.

— A więc dobrze, chodźmy.

Zbiegł po wschodach na podwórze i krokiem przyspieszonym do wsi ruszył. Babina za nim dryptała i chociaż w piersiach tchu jej brakowało, na chwilę ust nie zamknęła.

— To prawdziwe boże miłosierdzie, żem pana konsyljarza zastała. Gdyby tak jeszcze dzień lub dwa, pewnie by umarł... Biedne panisko, ani by się postrzegł, jakby się minął. Chodziłam wczoraj po doktora, ale gdzie dziś którego zastać! Włóczą to się niby po chałupach, a ludziska jak umierali tak umierają. A najgorszy to już ten rudy żydek, co to go zowią fizykiem. Jakem wczoraj przez Wulkę szła do miasta, mówiła mi jedna kobieta, której męża niedawno pochowali, że on jej nieboszczykowi przez okno laską pulsu szukał i laską także z przeproszeniem pana konsyljarza brzuch mu obmacywał... Jak świat światem nikt jeszcze o takich sposobach nie słyszał... O! mój Boże, żebym choć mojego pana zastała.

— A któż jest ten wasz pan? — Ryszard zapytał.

— Niby to ja wiem, proszę pana konsyljarza, jak Boga kocham nie wiem, chociaż bardzo dobre panisko. Będzie temu sześć tygodni, jakem go pierwszy raz zobaczyła w mieście na rynku. Patrzę na niego i myślę sobie, przystojna figura, choć widać że obcy, a on ci pewnie także coś sobie pomyślał, bo zaraz mnie zapytał: „Nie poszlibyście do mnie na służbę?“ — Czemu nie! — odpowiadam. — „A umiecie gotować?“ — Pewnie że umiem... służyłam przecie dwa lata u pana kapitana. Umiem zrobić dobry rosół z makaronem lub lanem ciastem, i barszczyk, i zupę pomidorową, kluseczki z serem, pierożki z powidłami...

— Co gdy usłyszał, zaraz was przyjął — wtrącił Ryszard aby dalszemu wyliczaniu smacznych potraw kres położyć.

— Tak jest, proszę pana konsyljarza, zaraz mnie przyjął i dobrze mnie płacił, cztery papierki na miesiąc. A roboty nie było prawie żadnej. Bywało z rana wstanę...

— To tam? — Ryszard przerwał pokazując na Ekonomówkę, którą widać było nieopodal.

— Tam proszę pana konsyljarza... Ach! żeby mu też lepiej było.

Babina zaczęła znowu terkotać. Ryszard jednak zostawił ją daleko za sobą i wszedł do

ogródka Ekonomówki, zkąd ścieżka trawą zarośnięta do domku prowadziła.

Przy drzwiach, głową do sieni obrócony, siedział pies duży i czarny. Usłyszawszy kroki za sobą, głowę poważnie obrócił i ku nadchodzącemu nos wyciągnął. Ryszard nie mógł się powstrzymać, żeby go nie pogłaskać. Pies machnął ogonem raz i drugi, potem wstawszy poufale otarł się o nieznajomego.

Nasz przyjaciel wszedł do sieni.

Drzwi od pokoju na prawo były na oścież otwarte. Domyślając się, że tam chory leży, do progu postąpił. W izbie świeżo wybielonej i umytej, stał pod oknem stół jodłowy, przy nim dwa krzesła, na boku łóżko, na niem w malignie mężczyzna z dużą czarną brodą, nad łóżkiem obraz Matki bożej, a pod nim rewolwer sześciostrzałowy. W izbie nie było więcej sprzętów.

Ryszard zatrzymał się, uderzony nie tyle widokiem tej izby i chorego, co rzeczą drobną na pozór, której się tu zastać nie spodziewał. Oto na stole leżał kapelusik słomiany z niebieskiemi wstążkami, kapelusik niby to zwyczajny, jakich młode panienki zwykły na wsi używać, a jednak taki zgrabny, taki uroczy, że Ryszard spojrzał mimowoli na drzwi do drugiego pokoju prowadzące, ażali w nich przypadkiem jego właścicielki nie zobaczy. I nie długo czekał.

Tak lekko, że szelestu jej kroków słychać nie było, weszło dziewczę młode i piękne, niosąc w ręce szklankę z ciemnym płynem. W obawie, by lekarstwa nie wylała, szła powoli i ostrożnie, mając oczy w szklankę utkwione. Nasz przyjaciel nie widział tych oczu, lecz czy mógł wątpić że były prześliczne? Jak matematyk odgadujący z kilku danych cyfrę niewiadomą, albo filozof, który nowej prawdy szukając, często do niej dochodzi jedynie przez sumienne zestawienie znanych już przyczyn i skutków, prawa bowiem światem rządzące są wszem rzeczom wspólne, tak i Ryszard widząc tę kibić smukłą i kształtną, te włosy bujne i połyskujące, które w tyle głowy związane tworzyły dwa zwoje olbrzymie, nakoniec twarz madonny, pulchną rączkę i nóżkę malutką, którą przelotnie dostrzegł pod krajem sukienki perkalowej, ani chwili nie wątpił, że cudne to dziewczę musi mieć i oczy równie cudowne.

Uderzony tak miłem zjawiskiem, został przy drzwiach, jakby w obawie, by na głos jego kroków nie rozpłynęło się jak fatamorgana. Rózia, gdyż ona to była, postawiwszy tymczasem stołek obok łóżka, na nim lekarstwo, obróciła się aby jeszcze coś przynieść z drugiego pokoju. W tej chwili jej oczy padły na drzwi wchodowe.

Jakiś czas tak stali, w milczeniu na siebie poglądając. On jak zwykle i teraz się uśmiechał, w jej zaś oczach nie było ani niepokoju, ani nawet zdziwienia. Niewiadomo jak długo była by ta scena trwała, gdyby nie chrypliwy głos kucharki, która nie mogąc dopędzić pana konsyljarza, dopiero teraz do sieni weszła, przez drogę na chwilę terkotać nie przestawszy.

— Proszę pana — przemówiła Rózia uprzejmie — jam się tu tylko przypadkiem znalazła...

— O! racz pani zostać jak najdłużej — Ryszard wchodząc odpowiedział — gdzie takie znajdują się siostry miłosierdzia, tam nawet śmierć traci swoje prawa, nie dopiero zwykła choroba.

Zarumieniła się jak wiśnia i kłaniając się oczy spuściła. Pierwszy raz dopiero jej się zdarzyło, że na słowa grzeczne nie umiała odpowiedzieć. Wprawdzie chciała się poprawić, to i owo nawet na myśl jej przychodziło, lecz wszystko odtrąciła jako zbyt pospolite i trywialne. Jeźli kiedy to teraz pragnęła odpowiedzieć nie tylko coś bardzo rozumnego, lecz równocześnie i coś takiego, co by pięknemu młodzieńcowi przyjemność sprawiło.

Na jej szczęście z zakłopotania wybawiła ją kucharka, która wpadłszy do pokoju, krzyknęła na głos cały:

— Wszelki duch chwali pana Boga! Jam poszła po jednego pana konsyljarza, a tu z łaski Matki najświęszej jest już dwoje... Niech ci Bóg da zdrowie śliczna panienko żeś i do nas przyszła! Niedarmo chwalą cię wszyscy i świętą nazywają!

To powiedziawszy do Róży przyskoczyła i zaczęła ją po rękach całować.

— Dajcie pokój dobra kobieto, wszak nie uczyniłam więcej nad to, co dla każdego nawet wieśniaka jestem zrobić gotowa. Przykro mi, żem się wcześniej nie dowiedziała...

— Mam nadzieję — Ryszard wtrącił — że gdy wspólnemi siłami zaczniemy leczyć chorego, on prędko wstanie i będzie zdrowszym niż kiedykolwiek.

Znowu się zarumieniła, i znowu jakby na czyjś rozkaz jej oczy opadły. Jednakowoż tym

razem odwagę zebrawszy, na odpowiedź się zdobyła.

— Gdzie są mężowie nauki — rzekła — tam zdaje mi się, obecność słabej kobiety może być tylko przeszkodą.

— Nigdzie pani, a tem mniej przy chorym... Jeźli prawdę mówią, że mężczyzna jest przedstawicielem rozumu, to z drugiej strony najmniejszej nie ulega wątpliwości, że kobieta jest przedstawicielką serca. A gdzież ściślej, jak właśnie przy łożu ciężko chorego, powinny łączyć się rozum z sercem? Lekarz niech bada i lekarstwo zapisuje, troskliwa dłoń kobieca niech chorego ratuje.

Wypowiedział to jednym tchem a z taką uprzejmością, że Rózia zdobyła się znowu ledwie na ukłon, poczem skorzystawszy, że młody człowiek począł badać chorego, wyszła do przyległego pokoju.

Kucharka stanęła w nogach łóżka, z rękoma złożonemi jakby do modlitwy.

— Niebezpieczeństwa wielkiego dotąd nie ma — po niejakim czasie przemówił — chociaż gorączka bardzo ciężka... Za godzinę przyszlę wam lekarstwo, które z dwóch flaszeczek będziecie choremu dawali co pół godziny na przemianę. Co do tego napoju — dodał, podnosząc do góry ową szklankę, którą Rózia przyniosła — jest on bardzo dobry, i możecie go dawać swemu panu nim moje lekarstwa przyjdą. Po południu będę tu koło piątej.

Ostatnie słowa wymówił głośniej, jakby sobie życzył by go i w drugim pokoju słyszano. Gdy kapelusz wziąwszy chciał wyjść, na progu Rózia się zjawiła.

— Lekarze -- rzekł ku niej podchodząc — są jak spowiednicy: żądają grzechów o nazwisko nie pytając. Dla tego nie bierz mi pani za złe, że w obec niej incognito zachowuję, będąc bowiem zwolennikiem równouprawnienia, radbym mieć przynajmniej te same przywileje co i moi pacjenci... Zdaje mi się, że choremu wkrótce się poprawi, a jeźli tylko pani zechcesz o nim pamiętać, nie wątpię, że rekonwalescencja będzie szybka i trwała.

To powiedziawszy skłonił się i wyszedł, odprowadzony przez *Neptuna* do furty ogrodowej.

Nie wymienił jej swego nazwiska... czyż tego potrzebowała? Alboż nie wiedziała, że to Ryszard Gozdawa, medyk paryzki, ten sam, który przed miesiącem z garbusem u kładki rozmawiał? Zresztą widziała go już tyle razy, jak drogą popod ich dwór przejeżdżał, i każdy rys jego oblicza dobrze jej utkwił w pamięci. Lecz czemu o jej nazwisko nie pytał? Byłoż to lekceważenie? Przenigdy! Wszak rozmawiał tak uprzejmie, wszak nietylko usta, nawet oczy słodko mu się uśmiechały... A może ją zna? Wątpiła. Jak dotąd nigdzie się nie spotkali, prócz tego Ryszard lat kilka w kraju nie był, więc zapewne nie wiedział, że Stern ma córkę. Sama nie rozumiejąc czemu, gorąco pragnęła, żeby piękny ten młodzieniec jak najpóźniej jej nazwisko usłyszał, a nawet, jeźliby to było możliwe, aby się o niem nigdy nie dowiedział...

— Kochana kobiecino — rzekła do kucharki na wychodnem — jeźliby pan konsyljarz pytał was kiedy, jak ja się nazywam, zaklinam was na wszystko, odpowiedźcie mu że nie wiecie.

— Biedna panienka — babina sobie pomyślała — wstydzi się że żydówka... A szkoda jej, takie to dobre i stateczne! — Głośno zaś dodała: — Niech się panienka nie boi, przecie ja umiem trzymać język za zębami.

— A jak wam na imię, gosposiu?

— Krystyna, do usług panienki.

— Pamiętajcie więc Krystyno coście przyrzekli i co pan konsyljarz kazał robić.

— Oj, pamiętam pannuńciu, pamiętam. Ale panieneczka jeszcze czasem do nas zaglądnie?

— Może... chociaż sama nie wiem, czy to wypada, skoro tu już doktor przychodzi.

— Czemu by nie wypadało pannuńciu... a zresztą jeźlim dobrze zrozumiała, on sam o to panienkę prosił. Przecie to taki pan dobry i ładny. Ach! gdyby też panienka wiedziała, jak wam razem było do twarzy. To nieprzymierzając tak samo, jak kiedy ja będąc młodą, ubiorę się w suknię z niebieskiemi pasami, a mój stary, Panie świeć tam nad jego duszą! przywdzieje mundur policjanta, bo trzeba panience wiedzieć, że nieboszczyk mój mąż był najstarszym policjantem w cyrkule, i my tak sobie do kościoła czach! czach! Bywało całe miasto tylko na nas patrzy... A panienka doprawdy jakby stworzona dla pana konsyljarza. On czarny, jak na mężczyznę przystało, a panienka biała... wzrost w sam raz, figura także...

— Do widzenia! do widzenia! — przerwała jej Rózia i szybko do sieni wybiegła. Krystyna do okna podeszła, aby ją jeszcze raz zobaczyć.

— Cudna panienka, jak anioł, ale cóż kiedy żydówka...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NA BŁĘDNEJ DRODZE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Fryderyk de Rosey był z kolei drugim synem tego małżeństwa. Brat starszy zginął przypadkiem. Ów wzorowy urzędnik, który tak rozumiał wychowanie dzieci, jak je sam odebrał, chcąc chować przyszłych urzędników, robił to w sposób surowy, despotyczny. — Tak mamce jak niańce swych dzieci podawał przepisy według swego ojca. O pewnych godzinach dzieciom było tylko wolno stawać przed rodzicami, zresztą żyły osobno trzymane w karności.

Pani de Rosey nie opierała się temu systemowi wychowania, który był prawem w rodzinie oddawna. — Żałowała że nie miała córki, którąby dla siebie zachowała. Kochała czule swych synów, ale poddała się jak wyroczni woli męża.

Pewnego dnia, gdy byli na wsi w posiadłości pana de Rosey nad brzegiem Sekwany, starszy chłopiec w czasie nieobecności rodziców czując się więcej wolnym, mniej strzeżonym przez swych stróżów, wykradł się z pałacu. Chciał skorzystać z wolności i pobiegł nad brzeg rzeki bawić się w łódce z dziećmi równemi sobie wiekiem.

Nie dowiedziano się nigdy, czy sam wpadł w wodę, gdy chciał wchodzić do łodzi, czy też został zepchnięty przez drugie dzieci, utopił się, co było naturalnie strasznym ciosem dla rodziców.

Pani de Rosey o mało co nie umarła ze zmartwienia. Rozpacz męża pogodziła ją z życiem. Od tego dnia sędzia okrył się wieczną bladością, która przejmowała bojaźnią oskarzonych, indagowanych przez niego; przypisywano ją pracy, niezdrowemu, dusznemu powietrzu w sali audjencyjnej, podczas kiedy była żałobą serca ojcowskiego rozdartego i ukaranego na wieki.

Uniżył się przed żoną, oskarzając sam siebie o śmierć tę, poznając niestety za późno, że tylko oko ojca i matki strzedz dziecka powinno. Wyrzekł się na zawsze systemu modnego wychowania, polegającego na opiece sług. Postanowił sam czuwać nad Fryderykiem i oddał go w ręce matki. Ta śmierć oddziałała więcej niż gilotyna 93 roku, na którą jego pradziady wstępowali; pokonała przesądy prezydenta i od razu natchnęła go uczuciem dla dobra społecznego, o którym jeszcze wczoraj pojęcia nie miał i które byłby za utopią rewolucyjną uważał.

Patrzał zawsze przed siebie; teraz spojrzał na dół i oto zobaczył, że zrównał się z nieszczęśliwymi rodzicami, którzy przychodzili do sądu pytać się o swoje dzieci, które zginęły przez ich winę.

Ileż to razy, podczas gdy jego koledzy drzemali przy szmerze skarg, pan de Rosey siedział nieruchomy, z okiem wlepionem w otchłań czarną, rozwartą przed nim, wśród której słyszał plusk wody głębokiej i widział szamocące się ciałko tonącego dziecka swego. Wstrząsał się raz po raz i tłumił w sobie krzyk, który się z piersi jego wyrywał, a gdy odrywał się od tego widoku i miał wydawać wyrok na włóczęgów, wtenczas głosem drżącym wzywał obecnych, czy nie ma pomiędzy nimi nikogo, któryby rękę ratunku podał owemu niewinnie oskarzonemu, który miał zaginąć w domu poprawy; utonąć tamże. Ze wzruszeniem podziwianem jako dar wymowy głosił ułaskawienie, które potępieniem było.

Czasem, gdy dziecko było małem, gdy było w wieku jego syna starszego gdy umierał, pan de Rosey ściągał swe gęste brwi, spuszczał oczy i pochylał się, aby nie patrzano nań, i zapytywał wzruszony: — moje dziecię, tłumacz się jaśniej! — Głos ten drżący wstrząsał sercami oskarzonych, a wywoływał uśmiech na twarzy sędziów, gotowych przypuszczać, że wskutek owego nieszczęścia rodzinnego prezydent ucierpiał trochę na umyśle.

Pewnego dnia przekonanie to ustaliło się na zawsze pomiędzy kolegami.

Otóż co zaszło na audjencji.

Przyprowadzono na ławę oskarzonych niegodziwego ulicznika paryskiego, wybladłego, dzikiego, wstrętnego, odpowiadającego krnąbrnie i bezczelnie.

Pochwycony przez policją w nocy pod mostem, gdzie spał, nie płakał, nie bronił się, ani starał ułagodzić sędziów wybiegami kłamliwemi, zwykłą bronią dzieci. Stał groźny, krnąbrny. Odpowiadał niegrzecznie prezydentowi, a gdy żandarm go potrząsał swą żelazną ręką, chcąc go do uległości zniewolić, obracał się gniewnie doń i krzyczał, aby mu dał pokój.

Ów łobuz jedenastoletni o włosach zabłoconych, nie przypominał wcale ukochanego, małego topielca.

Jednakże skoro podniósł swe oczy kocie, spoglądając przebiegle, pan de Rosey pochwycił w nich błysk pewien, który nim wstrząsnął, ten mały niegodziwiec gniewał go, ale i ambarasował.

Pytał go ostro, chcąc go ugiąć i upokorzyć; potem uciekł się do napomnień serdecznych, przypominając mu, że ma małą siostrzyczkę którą zapewne kocha.

Dziecko prostowało się krnąbrnie na wyrazy surowe, a wzdrygało ramionami na wspomnienie siostry.

Gdy go prezydent zapytał, dla czego włóczy się po nocach, odpowiedział:

— Biją mnie i męczą w domu... więc uciekam.

— A gdyby rodzice przyrzekli, że cię bić nie będą?

Dziecko parsknęło śmiechem szyderczym, strasznym:

— Musieliby przyrzec, że pić nie będą!

— Strzeż się! bo pójdziesz do więzienia!

— Co mi to szkodzi? Czy rychlej, czy później, zawsze to musi nastąpić. Wtenczas też ucieknę!

Pan de Rosey bladł co raz więcej i przyciskał ręką piersi, niby żabot prostując, ale w istocie dławił się. Jeden z sędziów poszepnął z pogardą:

— Prawdziwy posiew złodziejów.

Prezes potwierdził skinieniem głowy zdanie sąsiada, uśmiechnął się obojętnie i zapytał, czy rodzice oskarżonego, których już po dwakroć wzywano do stawienia się, są tutaj?

Nikt nie odpowiedział.

Zwrócił się zatem do obecnych i zapytał, czy ktokolwiek z nich reklamuje dziecko?

Znów milczenie. Prezydent powstał i już z zupełnie innym uśmiechem odezwał się:

— W takim razie ja się niem zajmę!

Rozumiano, że chciał przez to powiedzieć, że sprawiedliwość się zajmie niem i odda je do domu poprawy.

Czekano na słowa wyroku; ale pan de Rosey przywołał woźnego sądowego i dał mu rozkaz, który wszyscy słyszeli i który miał być wykonany przez policją.

Mały złoczyńca miał zostać odprowadzony do sali obrad i tam na prezydenta czekać. Po skończeniu audjencji sam go tenże z sobą zabierze.

Otóż ten mały niegodziwiec stał się pierwszym wychowańcem, a raczej fundatorem owego domu przytułku rodzinnego. On był także pierwszą zachętą i pierwszą nagrodą pana de Rosey.

Gdybym się nie obawiał przedłużać owego opowiadania, opowiedziałbym scenę, która zaszła w domu za powrotem prezydenta, gdy przedstawił żonie swego ulicznika zabłoconego oświadczając, że go adoptuje, nie śmiejąc naturalnie jej zaproponować, aby i ona go przyjęła.

Pani de Rosey bawiła się przez chwilę pomięszaniem męża. Gdyby jej był przyprowadził dziecię występnej miłości, nie byłby mógł być więcej drżącym i bladym.

Żona stanęła na wysokości męża. Ogarnęła ją wielka miłość, uczucie najwznioślejsze. Wybuchło nagle jak światło, które naraz oświeciło część nieba głęboką, nieskończoną.

Wyciągnęła rękę do męża.

— Jesteś najlepszym z ludzi — wyrzekła, mówiąc mu pierwszy raz przeciw wszelkim zwyczajom „ty".

— O! a ty jesteś najlepszą z kobiet — odpowiedział pan de Rosey, całując podaną sobie rękę.

Było to wszystko. Spojrzeli na siebie zachwyceni, promienni, uwielbiając się nawzajem. Żaden frazes, żaden uścisk, żadna poezja nie była zdolną wyrazić lepiej owej spójni dwóch dusz rozumiejących się, jak te proste wyrazy, jak ten pocałunek lękliwy zamieniony pomiędzy małżeństwem połączonym w dobrym uczynku.

Pan de Rosey objawiwszy swoje plany, przedłożył żonie swoje rysunki i myśli w tym względzie. Ona poprawiła je na sposób więcej praktyczny.

Gdy ludzie idą za popędem uczucia, tracą rozum. Pani de Rosey zażądała, aby zapisano w statutach warunek, że dzieci pozostaną w zakładzie przynajmniej przez pięć lat, choćby rodzice byli w możności odebrania ich. Ona to zwiedziwszy rozmaite szkoły, napisała program nauk i robót dla dziewczynek, nie ograniczając się na samem szyciu, które tylko przysparza liche robotnice, ani na owem gospodarstwie retorycznem, które ani doskonałej służącej ani wyborowej kucharki nie stworzy.

Co do małych chłopców, chciała aby w nich przedewszystkiem o ile możności chęć do nauk obudzić. Ponieważ cierpieli, poznali włóczęgę, doznali hańby i wstydu, przeto mogli poznać tem lepiej, ile trzeba taktu, dobroci, aby ze szkoły zrobić rodzinę, która im tamtą zastąpi, sąd, w którym uczniowie oceniają się nawzajem, przybytek moralności, w którym szlachetna emulacja zagrzewa do pracy i szacunku.

Będzie zawsze dosyć dzieci, ażeby zapełnić domy takie.

Od lat dwunastu istniał zakład w dolinie la Canche i przynosił pomyślne rezultaty.

Powtarzam jednak, że pan de Rosey nie szukał sławy w rozgłosie, a chociaż na audjencjach nie przedstawiał mu się ów obraz straszny ciemnej przestrzeni i plusku dzieci tonących, to mimo tego nie zapomniał o swoim utopionym malcu. Ale przypominał sobie o nim z żałobą spokojną, z rodzajem nadziei zmartwychwstania, jak gdyby wszystkie te małe uratowane istoty były żywemi członkami jego syna, gotowego wyciągnąć doń ręce i przebaczyć mu.

Zresztą miał we Fryderyku nagrodę miłości ojcowskiej.

Fryderyk wychowany z miłością, z rozsądkiem — szlachetnie zapełnił ową otchłań, stojącą tak długo otworem i pomału zacierał wspomnienie brata.

Zrozumiemy teraz, jaką wartość przywiązywali państwo de Rosey do małżeństwa syna jedynaka, rozumiejąc tylko szczęście w połączeniu z szacunkiem. Musieli z przezornością chodzić około swych interesów już przez sam wzgląd na owo pobłażanie, które okazywali dla obcych dzieci.

XI.

W zakładzie pana de Rosey, mieściło się sześćdziesiąt dzieci, trzydzieści chłopczyków i trzydzieści dziewcząteк. Reguła nie pozwalała przyjmować więcej.

Obok stosunków majątkowych, które mu nie dozwalały rozszerzać zakładu, prezydent był jeszcze tego zdania, że pomimo najlepszych chęci, niemożebne w szpitalach zadośćuczynić wielkiej liczbie osób. Pan de Rosey nie chciał ani zakonnic ani zakonników na dozorców, profesorów, przełożonych. Nie był wolnomyślnym, ale tyle posiadał niepodległej woli, że wolał przybrać sobie do pomocy ludzi należących z powołania do życia zwyczajnego. Nawet żal ojcowski, który go pobudził do założenia tego domu, byłby go zdecydował raczej do powierzenia ojcom i matkom rodzin opieki nad zakładem; gdyby go przypadek nie był skłonił do odstąpienia od owego zamiaru. Pewna kobieta, wdowa po kapitanie okrętu, jak mówiono, bezdzietna i nie-

majętna szukała zajęcia, aby żyć. Ofiarowała swoje usługi właśnie w chwili, gdy zakład miał być otworzonym.

Przyszło łatwo do zgody między prezydentem a ową kobietą pełną dystynkcji. Po półgodzinnej rozmowie zrozumieli się, ułożyli i kobieta ta stała się niejako główną przełożoną zakładu.

Pani Bardin (było to nazwisko owej pani) nie zdawała się mieć lat 50. Wysoka blondynka, o cerze bladej, z twarzą obojętną czy też zobojętniałą ale miłą, sympatyczną, o dużych oczach niebieskich, z włosami gładko zaczesanemi na szlachetnem, trochę niskiem czole; o ruchach wolnych i szlachetnych, ubrana zawsze w suknię czarną kaszmirową, kroju trochę zakonnego, z wielką peleryną, w czepek wdowy angielskiej, z pękiem kluczy u pasa, prawie zawsze w rękawiczkach, nie z kokieterji ale zapewne z przezorności macierzyńskiej, aby zachować ręce miękkie, białe, delikatne do pieszczot, gdy zalecała dzieciom porządek; poważna więcej niż surowa, spokojna i cicha, pani Bardin budziła zaufanie zaraz w pierwszej chwili i nakazywała szacunek. Nie żądała zwierzeń i sama też z swej strony unikała ich.

Ludzie z okolicy, znający ją z dobrych uczynków, nazywali ją siostrą i kłaniali jej się z pokorą, małe chłopcy nazywały ją ciotką, dziewczynki mówiły jej: matko!

Pan de Rosey uważał ją za swą przyjaciółkę. — Wlewał w wyraz „pani“, z którym się do niej odzywał, pewną rycerską serdeczność, z której pani de Rosey żartowała czasem, wyrzucając mu z uśmiechem, że jest zakochanym w pani Bardin; wybaczała mu to chętnie, jak mówiła, bo trudno było pozostać dłużej z tą uroczą kobietą, żeby jej nie podziwiać i nie kochać.

Nie przyszło do żadnej poufałej szczerości pomiędzy panem de Rosey a panią Bardin. Sama przybyła prosić o to miejsce, nie będąc zarekomendowaną przez nikogo. On ją przyjął grzecznie, bo jej powierzchowność przemawiała za nią, a potem myśli, które w szlachetny sposób objawiała, okazywały kobietę wykształconą.

Przedłożył jej program nauk, że tak powiem, kuracji chorych umysłów. Ona go pojęła, dodała mu nowe wskazówki i od pierwszej chwili zrozumieli się zupełnie.

Profesorowie i dozorcy należeli do zakładu. Mieszkali tamże i poddawali się pod rozkazy pani Bardin. Sama nie składała na nikogo obowiązku zwiedzania co noc sypialni chłopczyków. Sypiała obok pokoju dziewczynek, do których drzwi od niej zawsze stały otwarte.

Pewnego dnia przy łóżeczku umierającego dziecka, pan de Rosey biady, zapatrzony uważnie na konanie biedactwa małego, w chwili bolesnego wzruszenia pochwycił rękę pani Bardin i uścisnął ją serdecznie.

Spojrzeli na siebie i zrozumieli, że łączy ich jakieś wspomnienie żałobne. Pani Bardin wiedziała, że pan de Rosey stracił syna starszego i że to nieszczęście było powodem założenia tego domu. Prezydent nie znał przeszłości swej przełożonej. Domyślił jej się w łzach, które zabłysły w wielkich, niebieskich oczach pani Bardin.

— Więc i pani straciłaś dziecię? — zapytał cicho.

Poruszyła głową.

— To więc nieszczęście spowodowało również panią jak mnie do owego powołania.

Znów skinęła głową.

Odtąd nigdy nie poruszyli tej kwestji; ale pan de Rosey lubił przywozić tutaj Fryderyka, a pani Bardin po pewnem smutnem zadziwieniu stała się względem Fryderyka wylaną, serdeczną; rozmawiała z nim o wszystkiem tem, co go tyczyło, pytała o studja, brała go na mały egzamin, pytała o zabawy, o kolegów. Później chciała poznać jego plany; wreszcie skłoniła go, że jej mówił o swych pierwszych młodzieńczych marzeniach.

Pani de Rosey powiedziała raz żartem do męża:

— Wiesz, że masz rywala! Fryderyk tylko mówi ciągle o pani Bardin.

— W takim razie, kochanie, powinnaś ty być zazdrośną, bo kocha ją jak matkę.

Uśmiechnęli się do siebie i zakończyli westchnieniem:

— Biedna kobieta!

Nie znali historji jej życia, ale rozumieli, że Fryderyk był jej pociechą.

Kilka razy w czasie ostatniego lata, młody Rosey przyjechał z Boulogne i zapewnie zwierzył się pani Bardin ze swej miłości i swych nadziei.

Od dwóch tygodni wyjechał do Paryża i nie dawał o sobie żadnych wieści.

Pani Bardin niepokoiła się.

Czy trzeba było przypisywać owej nieobecności i milczeniu młodego człowieka, który jej mówił wszystko, ów smutek pani Bardin, którego nie mogła pokonać? Czy też zbliżająca się jesień, wywierająca taki wpływ na dusze o ranach niezagojonych tak działała na jej nerwy? Tyle jest pewnem, że ta kobieta, tak zawsze spokojna i równego usposobienia, w końcu września stała się nerwową, rozdrażnioną, niespokojną i pierwszy raz owa rezygnacja, z jaką znosiła nieszczęście życia, zachwiała się i okazywała walkę na jej czole.

Dwa razy pojechała do Boulogne li po to, aby błąkać się nad brzegiem i tam szukać śladów Fryderyka, czy też wybranej jego serca. Dwa razy powracała smutna, rozstrojona, a przez obie noce następne zamknęła drzwi do swego pokoju, aby nie potrzebowała czuwać nad dziećmi.

W czasie pewnego dusznego popołudnia znajdowała się w parku, rozciągającym się po za domem i przechadzała się po opadłych liściach. Rekreacja uczni skończyła się, więc była wolną.

Nie potrzebowała doglądać nauczycieli i nauczycielek, którzy w tej chwili dawali lekcje. Było jej potrzeba, chociaż przez godzinę odetchnięcia, schronienia, uwolnienia od obowiązku, owego rygoru godzinnego, aby pomarzyć, aby myślą chociaż do przeszłości powrócić.

W parku zatem, wśród drzew szemrzących, sama

oddychała owem powietrzem dalekiem, przeszłem, które wracało do niej od strony morza. Czyż to nie było rzeczą zupełnie naturalną, skoro jej mąż, kapitan Bardin, może zginął w czasie burzy.

Znajdowała się od godziny w parku, gdy turkot powozu wyrwał ją z tych marzeń.

Zatrzymała się, o mało nie wydała okrzyku, chciała pobiedz.

Zastanowienie, którem od tylu lat się rządziła, wstrzymało ją. Przycisnęła tylko ręką piersi, spojrzała na około i zdawała się dziękować drzewom, słońcu, niebu, że jej zsyłają pociechę.

Nie wypadało, aby wyszła naprzeciw pana de Rosey. Obawiała się, aby się nie zdradziła, wolała czekać i udać, że nie słyszała; przyjdą po nią.

To wyczekiwanie było szczytem jej odwagi, a gdy służący przyszedł jej powiedzieć, że pan de Rosey z synem przyjechali, przyspieszyła kroku, szczęśliwa, że miała pozór do pospiechu.

W wielkiej sieni, łączącej dawny pałacyk z nowym budynkiem, spotkała się nagle z Fryderykiem. Zdziwiła się, wyciągnęła ręce do młodego człowieka, a przerażona smutkiem jego, zadrżała, stanęła, opuściła ręce i dopiero po chwili zwolna założyła je na piersiach. Fryderyk patrzał na nią z boleścią; gdyby była pozostała z wyciągniętemi rękoma, byłby się rzucił w jej objęcia.

— Co się stało? — zapytała, przymuszając się do uśmiechu.

Fryderyk westchnął.

— Ale mówże, panie Fryderyku, chyba że nie zasługuję już na zaufanie...

— Ach! pani Bardin, czy kiedybądź co taiłem przed panią?

— Co pan robiłeś przez te dwa tygodnie?

— Byłem w Paryżu.

— A potem?

Fryderyk spuścił głowę.

Wdowa niby się uśmiechnęła, ale tylko dla tego, aby pokryć przerażenie.

— Czy nie jesteś kochanym? — zapytała łagodnie.

— Nie chcą nam pozwolić na pobranie się.

Pani Bardin wstrząsnęła się gwałtownie, groźnie.

— Kto taki nie chce, ojciec?

— Nie.

— W takim razie nie widzę...

— To matka moja głównie nie zgadza się na to małżeństwo.

— Ach tak!

Pani Bardin zaćmiło się w oczach. Stanęła niema, uderzona boleśnie tą wieścią; po chwili zapytała:

— A z jakiego powodu?

Fryderyk nie miał czasu odpowiedzieć. Pan de Rosey otwierał drzwi z saloniku, w którym urządził swoje biuro. Chociaż nie był więcej bladym jak zwykle, nie mniej był pomięszanym.

Pan de Rosey ukłonił się przełożonej, spojrzał prawie z wyrzutem na syna i rzekł łagodnie:

— Zostaw nas, moje dziecię. Muszę pomówić z panią Bardin.

Fryderyk zawahał się. Pani Bardin była jego sprzymierzeńcem; mogła mu dopomódz i błagać za nim ojca. Czy miał przyspieszyć lub odwlec tę okazją? Cóż ważniejszego mógł mieć pan de Rosey do powiedzenia tej kobiecie, na której sądzie polegał? W istocie pan de Rosey nie miał nic tak ważnego do zakomunikowania pani Bardin. Jeżeli się uciekał do tego wybiegu, to przez przezorność ojcowską, aby właśnie przerwać owe zwierzenia syna. I on chciał pozyskać na swoją stronę panią Bardin. Cierpiał z powodu smutku, który sprawiał Fryderykowi, ale który uważał za konieczny jak operacją chirurgiczną. Chociaż nie chciał ustąpić, chciał jednak przyjść do siebie i dla tego chciał się rozerwać sprawozdaniem o sprawach domowych, wśród którego chciał nie namyśleć, w jaki sposób najlepiej synowi ogłosić nieunikniony wyrok.

Wiedział dobrze, że Fryderyk, po którego pojechał do Boulogne i zabrał z sobą do Paryża, pospieszy się, aby wszystko opowiedzieć pani Bardin. Nie sprzeciwiał się temu, ale chciał także poprzednio wybadać ją co wie o owej miłości jego syna dla panny de Moranes. Właśnie w tym przypadku liczył na rozsądek przełożonej i na jej pomoc.

Otóż dla tego poprosił panią Bardin do swego gabinetu, a nie chcąc syna urazić, rzekł łagodnie:

— Nie będzie to długo trwało!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

WNUCZEK.

I.

Na trzeciem piąterku w małym lecz schludnie utrzymanym pokoiku, leżała kobieta pięćdziesięcioletnia z oczyma przymkniętemi. Na jej twarzy widać było, że nie lata lecz troski przebyte skróciły jej życie. Przy łóżku, u jej nóg klęczała młoda dziewica z miłością w jej rysy schorzałe zapatrzona, w ręku trzymając książkę do nabożeństwa. Widać że z matką przed chwilą modliły się razem i chora osłabione oczy jakby do snu przymknęła. Naraz drzwi z trzaskiem się otworzyły i służący teatralny zatrzymał się na progu.

— Panno Cecyljo — rzekł cichym głosem — wszyscy już na próbę się zeszli, na panią tylko czekają, a pan kapelmistrz strasznie się złości.

Dziewica powstała jakby na wpół senna.

— Mój Boże! jakżeż mamę samą zostawić?

— Idź dziecię — przemówiła chora — mnie nic nie potrzeba, prócz spokoju. Zresztą za godzinę lub dwie wrócisz, tymczasem Bóg się mną opiekować będzie.

Cesia prędko się zebrała, a ucałowawszy ręce matki, z oczyma łez pełnemi ku drzwiom się zwróciła

— Weź klucz ze sobą Cesiu, i bądź o mnie spokojną dziecino — dorzuciła chora.

Córka pokój zamykając, przycisnęła ręką serce.

— O Boże! — szepnęła — cóż to za straszna niewola, iść spiewać, gdy serce pęka z boleści.

Po jej, odejściu matka wyciągnęła ręce ku niebu.

— Co się z nią stanie po mej śmierci? — jęknęła. — Jam już tyle wycierpiała, że gdyby nie trwoga o los mej dzieciny, z radością śmierci bym wyglądała.

Matka Cecylji była wdową od lat piętnastu. Ojciec jej bogaty kupiec, skompromitowany politycznie w r. 1846, za karę został wzięty w rekruty. W domu zostawił młodziutką żonę z Cesią maleńką przy piersi; ze zgryzoty i w więzieniu zdrowie stargawszy, umarł w lat kilka. Cesia ojca nie pamiętała. Matka zostawiła magazyn pod zarządem dawnego pomocnika męża, lecz ten nadużył jej zaufania, tak, że biednej kobiecie został ledwie kapitalik wynoszący kilka tysięcy. Z małego procentu i swej pracy łożyła na skromne utrzymanie i wykształcenie Cesi, która będąc dzieckiem uroczem o włosach ciemnych i oku szafirowem, zdradzało nadzwyczajne zdolności muzykalne. W latach piętnastu, głos jej sopranowy, miał już tyle siły i rzewności, że przepowiadano jej świetną przyszłość. Matka naruszyła nie wielki kapitalik, by córkę ostatecznie wykształcić w spiewie i w Paryżu przygotować do sceny. Po czterech latach pracy, Cesia jako ukończona artystka miała pierwszy raz na scenie wystąpić. Matka z egzaltacją, właściwą polkom, nie chcąca by córka debiutowała na obcych scenach, powróciła do kraju. Tu ze zgryzot zwątlone siły poczęły ją opuszczać. Zachorowała obłożnie. Młoda zaś dziewica przyjęła miejsce w teatrze, z płacą jaką jej dyrektor naznaczył, wyboru bowiem nie miała. O! ciężko to, na ojczystej scenie, szukać chleba, bez sławy w pierw już zdobytej!... A płaca, którą dyrektor może ofiarować, nieznanej artystce, jest tak małą, że częstokroć na toalety nie wystarcza. Cesia zaś nie przyjmowała ofiar, które by jej dobrej sławie szkodziły. Z licznych jej adoratorów, jeden tylko Zygmunt Czarnecki, dowiedziawszy się o przykrem położeniu Cesi, o chorobie jej matki, i tysiącznych kłopotach, w których biedne dziewczę rady sobie dać nie mogło, przedstawił się jej matce, prosząc, by mu pozwoliła w domu bywać i być im pomocnym w drobnych przynajmniej rzeczach. Tego mu zakazać nie mogła, zwłaszcza iż wiedziała, że to chłopiec zacny, na którego prawy charakter liczyć mogła. Jego uczucie dla Cesi było czyste i szczere. Zresztą znajomych nie miały, a młode dziewczę odchodziło tylko od chorej matki, by do teatru na przedstawienie się udać. Zygmunt chodził gdy potrzeba było dla chorej po lekarza, znosił książki, które wieczorami paniom czytał i opiekował się Cesią, ilekroć późno w nocy z teatru wracała. Ale i w tem był nadzwyczaj uważnym. Ilekroć był w towarzystwie młodych ludzi, których złośliwe uwagi mogły szkodzić dobrej sławie Cesi, nie odprowadzał jej sam jak zazwyczaj, tylko polecał opiece starego Grzegorza, służącego ojca, który go od małego dziecka wypiastował i kochał panicza nad życie. Ten w brzydki czas wsadzał Cesię do fiakra i siadał na koźle, pilnując by się panience co złego nie stało, lub też szedł za nią aż do drzwi jej kamieniczki, często napominając, by panienka lepiej się zawinęła, bo wiatr mroźny, a przeziębić się nie trudno.

Zygmunt był synem dumnego magnata, który zadosyć czyniąc dzisiejszym wymaganiom, chciał by syn zanim obejmie rozległe dobra, wprzód ukończył prawa. Zygmunt był już na czwartym roku. Ojciec jego nie mieszkał na wsi; od śmierci żony, kupiwszy piękny pałac w stolicy, przeniósł się tam ze synem. Do majątków swych jeździł tylko kilka razy do roku, a jednak dzięki jego energji, administracja szła wzorowo, wszędzie panował ład i dobrobyt. Syna kochał namiętnie, był jednak zawsze surowym i nieugiętym. W jedynaku pokładał świetne nadzieje, upatrując dlań wcześnie żonę między dziewicami z najpierwszych rodzin. O innym związku ani byłby sobie pozwolił wspomnieć. Zygmunt mówił nie raz Cesi i jej matce, że gdyby nie duma ojca i jego wola nieugięta, czułby się najszczęśliwszym, gdyż prędko nazywałby ją swoją żoną. Cesia odpłacała mu uczuciem za uczucie, i chociaż tysiące razy sobie powtarzała, że jego żoną nie będzie, serce odpowiadało, że nie chce należeć do innego. Matka widziała walkę córki, nie dziw więc, że w przededniu śmierci, trwoga o los Cesi serce jej przejmowała.

Po ukończonej próbie, Cesia wróciła do domu; biedne dziewczę z sercem niespokojnie bijącem na palcach weszło do pokoju. Matka leżała śmiertelnie blada; podczas nieobecności córki znacznie jej się pogorszyło.

Cesia przerażona do nóg jej przypadła.

— O! matko moja, tobie gorzej, może wezwać lekarza? — wybuchnęła gorzkim płaczem.

Uspokój się dziecię, mnie tak dobrze jak jeszcze nigdy nie było. W tej chwili czuję nawet, że i ty będziesz szczęśliwą. Bóg nie opuści sieroty bez ojca i matki.

— O! nie mów tego matko, ty żyć będziesz, pojedziemy do Włoch, do Francji, oddana sztuce, stłumię uczucie, które mi dziś serce rozpiera i będziemy razem szczęśliwe. Bóg nie dopuści, żebym samą na świecie została.

W tej chwili drzwi cichutko odchylono i Zygmunt Czarnecki zbliżył się do łoża chorej; zobaczywszy jej rysy zmienione, pochylił się i z czułością synowską jej rękę ucałował.

— Pozwoli pani, żebym posłał po lekarza? — zapytał.

— Dobrze! dobrze — zawołała Cesia rękę podaną serdecznie ściskając, — tylko prędko, bo mamie znacznie gorzej.

— Nie potrzeba — chora słabym, lecz stanowczym głosem odrzekła — raczej poszlij, jeśli łaska, po księdza. Bóg ci to wynadgrodzi mój synu.

Zygmunt wydał stosowne rozkazy czekającemu w kuchence Grzegorzowi, sam zaś do głębi wzruszony wrócił do pokoju.

— Zbliż się mój synu — chora przemówiła — niech cię pobłogosławię za wszystko, coś dla nas uczynił i wypowiem co mi na sercu ciąży... Tyś dobry, szlachetny, piękny, ale młody bardzo młody... Cesia kocha cię całem sercem, zostanie nie długo samą na świecie... Bóg tylko opiekować się nią będzie... Przysięgnij mi synu, że pamiętać będziesz o dobrej sławie Cesi...

— Przysięgam ci matko, że Cesia zostanie moją żoną!...

Za drzwiami dał się słyszeć dzwonek zapowiadający przybycie kapłana.

Oblicze chorej jaśniało radością nadziemską. W godzinę później Bogu ducha oddała, trzymając w swej dłoni połączone ręce Zygmunta i Cesi.

II.

Zygmunt dotrzymał przysięgi. Mimo gniewu ojca, który go za to wydziedziczył, poślubił Cesię. Ojciec od tej chwili zakazał by ktokolwiek z domowników o nim wspominał, a przyjaciołom zaś, którzy próbowali gniew jego złagodzić, mówił, „że nie ma syna.“

Zygmunt cierpiał tem bardziej, że ojca kochał i szanował. Sądził też, że gdy rzecz będzie nieodwołalną, ojciec da się przebłagać; tymczasem ten od dnia ślubu syna więcej widzieć nie chciał. Dowiedział się tylko Zygmunt, że w najwyższem rozżaleniu wyrzekł: „Jeżeli przeciw mej woli się żeni, nie dbając ani o ojca ani o majątek, widocznie żonę sam potrafi utrzymać!“ Syn chcąc mu więc dowieść, że nie dla majątku błagał go o przebaczenie, wyjechał z żoną do Drezna, by ciężko na chleb pracować. Nie łatwo jednak człowiekowi przyzwyczajonemu do zbytków, obejść się bez nich, a szczególnie gdy po życiu wystawnem częstokroć na skromny posiłek nawet nie wystarcza. To też w pierwszym roku, kiedy prawie z nędzą walczyć musieli, Zygmunt robił sobie gorzkie wyrzuty.

— Cesiu najdroższa — mówił — patrz jakem cię uszczęśliwił... przysiągłem twej matce, że opiekować się tobą będę, a dziś nie masz co jeść. O! jakaż ironja mieściła się w słowach mego ojca, gdy mówił, że widocznie żonę sam potrafię utrzymać. Snać wiedział żem niedołężny, nie nauczony pracować, to też za karę chciał, bym to wszystko przeszedł, co dziś cierpię.

— Zygmuncie! — odpowiadała Cesia, której wyrazy męża serce raniły — to jam wszystkiemu winna, nie przyniosłam ci szczęścia, wdarłam się do waszej rodziny, pogardzona spiewaczka, a dziś muszę patrzeć jak zgryzoty cię niszczą, jak mój ubóstwiony cierpi przezemnie. O! czemuż zwyciężona twoją miłością, sama kochając cię nad życie, zezwoliłam na nasze małżeństwo, czyż nie lepiej gdybym była wyjechała za granicę, trawiona tęsknotą za tobą, już do dziś byłabym się z matką złączyła, a ty może byłbyś szczęśliwszym.

— O! Cesiu nie mów tego. Słowo nierozważne może mi się w rozdrażnieniu wyrwało, lecz ty wiesz, że bez ciebie, nie byłoby szczęścia dla mnie na ziemi, tyś mem słońcem, moją gwiazdą przewodnią, a gorzkie słowo tylko miłość dla ciebie mi podyktowała. O! bo ja cię bardzo, bardzo kocham...

W pierwszym roku często tak się Zygmunt zrywał, do ojca kilka razy pisał, listy wracały jednak nie tknięte. To go bolało, drażniło.

Cesia z trudnością nieraz uspokajała męża, ukrywając na dnie serca własne cierpienie.

W rok dał im Bóg syna.

— O dziecię moje! — ojciec w uniesieniu błogosławiąc mu zawołał — ty przebłagasz gniew dziadka, przywrócisz sławę naszemu rodowi! Synu mój niech cię Bóg błogosławi.

III.

Lata szybko mijały. Od urodzenia małego Zbisia wiele się zmieniło w domu naszych przyjaciół. W prawdzie i dziś nie było tu dostatku, lecz i biedy się nie widziało. Zygmunt dawał lekcje w pensjonatach; do Cesi przychodziły panienki na godziny spiewu i fortepianu, tudzież języka francuzkiego i włoskiego. Zbiś był duszą całego domu. Dziś już troska nie spoczywała na czole ojca, ani łza nie kręciła się długo w oku matki, dziecię bowiem napełniało radością całe pomieszkanko, i patrząc na tego aniołka, nadzieja w serce rodziców wstępowała. Cesia miała świetne propozycje jako śpiewaczka, ale je odrzuciła. Zygmunt nie byłby się nigdy zgodził, aby występowała na deskach teatralnych, raz by nie drażnić ojca, a zresztą nie chciał pozwolić, żeby bóstwo jego, tę żonę, którą czcił jak świętość, podziwiano lub krytykowano za pieniądze; wolałby był znosić głód i nędzę, niż widzieć matkę swego dziecięcia sprofanowaną tysiącznemi uwagami.

Z kraju miewali wiadomości od przyjaciół, i od poczciwego starego Grzegorza, który cierpiał bardzo, rozstawszy się z „kochanym paniczem.“ „Tak u nas smutno jak w grobie — pisał przywiązany sługa — nasz pan posunął się bardzo, taki nieraz smutny, że aż człowiekowi boleśno patrzeć, a przecież o Paniczu nieda wspomnieć, tylko gdy ze wsi wraca, powiada nieraz do mnie. Widzisz mój Grzegorzu, szkoda że pracuję, nie mam jednej duszy na świecie, któraby mnie kochała, umrę samotny, jak samotne jest życie

moje. — Gdy chcę, korzystając ze sposobności coś o Paniczu napomknąć, ofuknie mnie tylko i drzwiami trzaśnie, a jednak widzę nieraz jak łzę ukradkiem ociera. O! jak to inaczej było za dawnych czasów. Bywało za życia nieboszczki Pani, Panie świeć nad jej duszą! jak dam Zygmusiowi małą szabelkę a on zacznie nią wywijać, rąbać stoły i stołki, to Pani nasza śmieje się serdecznie, a Pan wziąwszy syna na ręce: — Widzisz żońciu — powiada — jakiego mamy jedynaka. Już później nawet, po śmierci naszej Pani, gdy Panicz ze szkół z pięknemi świadectwami wrócił, to Pan całując jego główkę z taką dumą i radością nań patrzył, że aż człowiekowi serce rosło. Oj! żeby to nasza święta Pani żyła, wszystko by inaczej było. O jedno już tylko Boga proszę, bym mojego Paniczusia jeszcze przed śmiercią zobaczył i maleńkiemu Zbisiowi wystrugał szabelkę, ale nie wiem czy doczekam tej szczęśliwej chwili, bom co dzień słabszy, już mi się nie wiele należy.“

Istotnie był to już ostatni list poczciwego Grzegorza. Zygmunt nie mając dłuższy czas wiadomości od niego, prosił jednego z przyjaciół by mu doniósł co to znaczy, i dowiedział się, że staruszek usnął pewnego dnia jak kureczka, by się więcej nie zbudzić.

Od tej chwili tęsknota za ziemią rodzinną jeszcze się zwiększyła u Zygmunta. Teraz miał znowu nadzieję, że po tylu latach ojciec mu prędzej przebaczy, zresztą Zbiś ukończył już rok ósmy, trzeba go było zatem do szkoły zacząć posyłać. To, ostatecznie go zdecydowało i z bijącem sercem wrócił do kraju.

Tu przyjechawszy zaczął starać się o miejsce w Wydziale Krajowym. Cesia otrzymała kilka lekcji. Zygmunt tymczasowo pisywał korespondencje do dzienników, tłumaczył powieści i przy usilnej pracy wystarczało im na skromne utrzymauie. Żyli cichutko, prawie w ukryciu, nie chcąc by o nich ktokolwiek wiedział. Zygmunt chciał już kilka razy pójść, rzucić się do nóg ojcu i błagać go o przebaczenie, lecz tyle doznanych zawodów, a szczególnie myśl, że mógłby być posądzonym o chciwość, wstrzymywała jego kroki.

Zbiś chodził do szkoły, i uczył się dobrze.

Rodzice nad życie go kochali. Mimo że chłopaczek miał dopiero lat ośm, był nad wiek rozwinięty dzięki ciągłem obcowaniu ze starszymi, i nieraz pytaniami swojemi rodziców w kłopot wprowadzał.

Gdy dnia jednego wracał ze szkoły, z bukiecikiem fiołków w ręce, zobaczył że przechodzącemu staruszkowi wypadła z kieszeni tabakierka z drzewa rzeźbiona. Podniósł ją, podbiegł, a zdejmując grzecznie kapelusik:

— Zdaje mi się że pan zgubiłeś to pudełeczko — rzekł.

Staruszek obrócił się szybko, wziął tabakierkę z rąk dziecka, a chowając przycisnął do piersi.

— To dar syna mego — wyszeptał wzruszony — gdy był takim jak ty chłopaczkiem, wyciął mi ją nożykiem. Dziękuję ci dziecię kochane — zwrócił się do Zbisia i pogładził jego ciemne kędziorki. Chłopaczek z uszanowaniem rękę jego ucałował.

Nieznajomy ujęty serdecznością dziecka, idąc wszczął z niem rozmowę.

— Gdzie idziesz moje dziecię?

— Wracam ze szkoły. Ja codziennie chodzę do szkoły, a widzi pan jakie dziś nazbierałem fijołki.. toż to się mamusia ucieszy... O! ja się muszę dobrze uczyć proszę pana, bo tatuś zawsze powiada: „ucz się dobrze mój synku, żebyś kiedyś na chleb mógł zapracować.“ A mamusia takżeby płakała, jeźlibym się źle uczył, a ona taka dobra. Mnie by było bardzo przykro, bo ja mamusię bardzo kocham — trzepało dziecko.

— Jak się nazywasz chłopaczku?

— Zbigniew Czarnecki.

— Co? Czarnecki?

— Tak proszę pana, a mój tatuś Zygmunt Czarnecki.

— Mój wnuk? — staruszek za serce się chwycił, o mur się opierając, by nie upaść.

— Co panu? — pytało dziecię — może pan słaby? Ja panu rękę podam.

— O! dobrze, daj mi twą rączkę — mówił starzec ocierając łzę po twarzy spływającą, a przyciągnąwszy Zbisia do swej piersi, okrył jego główkę pocałunkami.

Chłopczyk zdziwiony tulił się do jego łona.

— Ten pan musi być bardzo dobry — myślał — biedny płacze — i jemu łza w oku się już kręciła.

— A masz ty babkę, dziadka? — pytał nieśmiało staruszek.

— Nie, babci niemam, a dziadzia też nigdy nie widziałem, ale gdy z mamusią pacierz mówię, to zawsze Boga prosimy, żeby dziadzio był zdrów, szczęśliwy i na tatusia przestał się gniewać... Wtedy mama i tatko nieraz zapłaczą, a i mnie bardzo, bardzo smutno.

— O! — jęknął staruszek. — Gdzie mieszkają twoi rodzice, dziecię drogie?

— Właśnie dochodzimy do naszego domku.

— Prowadź mnie do nich dziecię, prowadź jak najprędzej!

— Dobrze, proszę pana tędy, mieszkamy w oficynie na piąterku.

Starzec pobiegł za dzieckiem, jakby mu się dwadzieścia lat wróciło.

Za chwilę Zygmunt i Cesia klęczeli u nóg ojca, który ich błogosławił, tuląc do siebie wnuka, sprawcę tego szczęścia.

K O N I E C.

Z życia rumunów i bulgarów.

Wschód chrześcijański nie odznacza się zbyteczną religijnością — zamieszkujące go ludy zachowują wprawdzie obrzędy religijne, lecz spełniają je powierzchownie, raczej przez zwyczaj, a nie przez wiarę głęboką, której śladów trudno tam dopatrzeć, nawet pomiędzy samymi przedstawicielami stanu duchownego.

Najwykształceńsi z nich rumuni więcej jeszcze dbają o pozór, że się tak wyrazimy o *decorum*.

Czczość swego życia starają się pokryć formami zewnętrznemi; większe ich miasta zapełnione są okazałemi cerkwiami, obrzędy religijne mają pewną wystawę, inteligentniejsze klasy rozprawiają nawet szeroko o kształceniu ducha i jego potrzebach, w rzeczywistości jednak jest to tylko wielka blaga, spotykana zresztą u rumunów na każdym kroku.

Zabobonność też ludu rumuńskiego jest przysłowiowa! ma ona pewne odrębne cechy, a słownik przekleństw obfituje w takie niezwykłe a straszne wyrażenia, iż w obec potoku tych klątw więdną najbardziej otrzaskane uszy.

W złej czy dobrej godzinie rumun kląć musi; jest to okrasa każdej chwili jego życia — nią się posługuje tak dobrze mężczyzna jak kobieta, a nawet młodziutkie, często piękne usta.

Przytoczę tu jeden wybitniejszy przykład.

W r. z. metropolita rumuński, człowiek, jak powiadają, światły i troskliwy o dobro swej owczarni, odbywał objazd metropolji; ponieważ w wędrówce tej wypadało mu często zbaczać z wielkiego gościńca, obsługę około powozu pasterza czyniła zwykle ludność okręgu, w którym podróż wypadała.

Dostojnik ten kościoła, znając narowy swych owieczek, zwykł był wsiadając do powozu dawać surowe napomnienia woźnicy, ażeby przez pamięć i winne uszanowanie wiezionej osobie wstrzymał się od klątw i wszelkich niewłaściwych wyrażeń.

Zakaz ten, jakkolwiek dla rumuna ciężki, był wszakże powszechnie szanowany.

Zdarzyło się wszakże raz, że kareta metropolity gdzieś na bocznej drodze ugrzęzła głęboko w gliniastej ziemi rumuńskiej.

Nie mogły nic poradzić nawoływania i smagania niezłych zresztą szkapiąt — powóz z miejsca nie ruszał.

Woźnica się męczył, zsiadał z kozła, ciągnął za uszy konie — wszystko napróżno; podchodzi tedy do biskupa i nuż całować go po nogach.

— Czego chcesz człecze? — pyta pasterz zdziwiony.

— Konie nie chcą iść.

— Daj im wypocząć, może pójdą.

— To się na nic nie zda — powtarza płaczliwie rumun.

— Więc cóż?

— Pozwól wasza świątobliwość choć parę razy zakląć, a konie wnet ruszą!

Nie wiem jak sobie poradził z tą prośbą metropolita, to pewna, iż nie przekonał rumuna, przeświadczonego głęboko o skuteczności proponowanego przezeń środka.

Do zabobonów rozpowszechnionych w Rumunji należy również obyczaj pogański składania ziemi ofiary!

Zwie się to w języku miejscowym *pomana*.

Rumun każdą czynność, każdą pracę, a nawet zabawę rozpoczyna od pozostawienia czegoś w ofierze ziemi.

Nie raz zdarzyło mi się spotkać chłopa wiozącego zboże w podziurawionym worku, z którego sypało się ziarno — zatrzymuję go i ostrzegam.

— To nic — odpowiada spokojnie — to *pomana*...

W innym znów wypadku widziałem biesiadników wylewających z dobrą wolą połowę napełnionej winem szklanicy; czynili to w tem przekonaniu, iż napój nie pójdzie im na zdrowie, jeżeli nie będzie wprzód spełniona *pomana*.

Nawet złodziej, ukradłszy pieniądze, rzuca na ziemię jakąś część drobnej monety, skarbiąc sobie w ten sposób bezkarność występnego czynu!

Chociaż co do tego ostatniego punktu wypada nadmienić, iż rumun często bardzo zabija, grabi, napada, ale rzadko dopuszcza się zwykłej kradzieży.

Czem się to dzieje? po prostu wybiera najkrótszą drogę, nie wymagającą wielkich zachodów i obmyśleń, tembardziej gdy gwałt jawnie spełniony, przy niemoralności władz policyjno-administracyjnych najczęściej mu bezkarnie uchodzi.

Od zabobonności rumuna różną jest zabobonność bulgara — tu wpływ islamu widoczniejszy.

Bulgar wierzy w przeznaczenie, liczy się z sił, której wyrazem jest fatum i jej się całkowicie poddaje.

Przesądność jego miesza się z przechowaniem dawnych zwyczajów słowiańskich i obyczajami tureckiemi; nie używa on tyle klątw, a przynajmniej nie tak strasznych jak rumun, ale wyzuł się za to nawet z form religijności.

Dopóki kościół i religja były bronią polityczną, bulgar chętnie się nią na każdym kroku posługiwał — płakał i narzekał (jak dziś to czyni, ilekroć mówi o panowaniu tureckiem), iż nie wolno mu było mieć swego kościoła, iż kościół ten kryć się musiał, w głębi oparkanionych uliczek i dziedzińców, że religja była prześladowaną, jawność obrzędów wzbronioną etc. etc., w rzeczy jednak samej, krzywda ztąd dla potrzeb jego ducha nie wypływała żadna.

Dziś bowiem, gdy wieżyce kościoła wysoko się wznoszą nad kopuły minaretów, gdy dzwony wzywają uroczyście w każde święto na modlitwę — cóż się dzieje?

Oto... nikt do cerkwi nie chodzi!

W Sistowie, owem sercu Bulgarji, gdzie zresztą już za czasów tureckich istniała piękna i okazała cerkiew, w maju r. z. miejscowy proboszcz wystąpił ze skargą do władzy, iż przez całe półrocze zaledwo ośm osób uczęszczało do cerkwi — a skargę podobną mogliby zdaje się powtórzyć wszyscy inni popi cerkwi bulgarskich

Prawda, że do upadku religji w Rumunji i Bulgarji wielce się przyczynił stan umysłowy i moralny samego duchowieństwa.

Nie można zapewne twierdzić bezwarunkowo, ażeby pomiędzy popami tamtejszemi nie było ludzi z wyższem wykształceniem i pojęciem ważności swych obowiązków.

Trzeba nawet przyznać, iż obaj dzisiejsi metropolici: rumuński i bulgarski, należą do kategorji światłych mężów kościoła — zanim wszakże wpływ ich oddziała dostatecznie i podźwignie z upadku niższe duchowieństwo, wiele jeszcze czasu upłynie.

Nie prędko też lud rumuński i bulgarski, pozbawiony dwóch czynników postępu: oświaty i religji, umoralni się i uszlachetni.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: W Maniecki.